

NATHAN ASHBORN

PIĘĆ DNI



Nie pamięta pięciu dni swego życia.
Ktoś pamięta je za niego.

PROLOG	3
ROZDZIAŁ 1 - Szczelina	7
ROZDZIAŁ 2 - Historia połączeń	16
ROZDZIAŁ 3 - Gabinet przy Złotej	25
ROZDZIAŁ 4 - Magnes	37
ROZDZIAŁ 5 - Adres	46
ROZDZIAŁ 6 - Co się nie zgadza	53
ROZDZIAŁ 7 - Nowy notatnik.....	65
ROZDZIAŁ 8 - Krawczyk trzeci raz	78
ROZDZIAŁ 9 - Strona trzydziesta pierwsza	92
ROZDZIAŁ 10 - Brat Kamila	101
ROZDZIAŁ 11 - To co muszę powiedzieć	116
ROZDZIAŁ 12 - Elżbieta z twarzą	126
ROZDZIAŁ 13 - Brat Kamila mówi.....	138
ROZDZIAŁ 14 - Votum Care	150
ROZDZIAŁ 15 - Agnieszka drugi raz.....	162
ROZDZIAŁ 16 - Wynik z Krakowa.....	172
ROZDZIAŁ 17 - Marta wie.....	187
ROZDZIAŁ 18 - Zawiadomienie	198
ROZDZIAŁ 19 - Agnieszka i Marta.....	207
ROZDZIAŁ 20 - Czwartek	216
ROZDZIAŁ 21 - Co będzie	227
ROZDZIAŁ 22 - Przysłuchanie	239
ROZDZIAŁ 23 - Wyniki.....	248
ROZDZIAŁ 24 - Pięć dni.....	259

ROZDZIAŁ 25 - Pięć dni (repyza)	269
PROLOG - powrót	Error! Bookmark not defined.

PROLOG

Pamiętam zapach kawy, kiedy wszystko się kończyło.

Nie wiem, dlaczego akurat to. Nie wiem, dlaczego z całego tamtego poranka umysł wybrał właśnie tę jedną rzecz i przykleił ją do reszty tak trwale, że teraz, kiedy parzę kawę, przez sekundę wracam do tamtego miejsca i tamtej chwili i tego uczucia, które nie miało jeszcze nazwy. Może dlatego, że kawa była normalna. Może dlatego, że w całym tym poranku była jedyną rzeczą, która zachowywała się tak, jak powinna.

Wszystko inne już nie.

Siedzę przy stole - przy naszym stole, przy którym jedliśmy śniadania przez siedem lat, przy którym kłóciliśmy się o rzeczy, których teraz nie pamiętam, przy którym podpisywałem dokumenty, których treści już nie znam. Siedzę i trzymam kubek obiema rękami, bo ręce mi drżą. Nie bardzo. Nie tak, żeby ktoś zauważył. Tylko tyle, żeby samemu czuć.

Marta stoi przy oknie.

Jest do mnie odwrócona plecami i to jedyna rzecz, którą mogę powiedzieć o niej z absolutną pewnością. Odwrócona plecami, z telefonem w dłoni, w tej swojej szarej bluzie, za dużej, którą zawsze nosiła w domu. Nie wiem, co czuje. Przez siedem lat myślałem, że wiem. Teraz wiem, że myliłem się.

Za oknem jest październik.

To też pamiętam - tę konkretną szarość, tę odmianę braku światła, która jest charakterystyczna tylko dla połowy października, kiedy lato jest już wystarczająco daleko, żeby nie pamiętać jego ciepła, a zima jeszcze nie zaczęła być

konkretna. Drzewa bez liści. Niebo bez koloru. Miasto, które oddycha płytko.

Między nami jest coś na stole.

Nie chcę na to patrzeć. Patrzę na swoje ręce, na kubek, na blat z odpryskiem przy prawym rogu, który zrobił się rok temu albo dwa lata temu, już nie pamiętam przy jakiej okazji. Patrzę na wszystko poza tym czymś, i wiem, że Marta to widzi, i wiem, że ona też nie patrzy.

Są rzeczy, na które można nie patrzeć tylko do pewnego momentu.

Potem trzeba.

Słyszę własny oddech. Zbyt głośny, zbyt nierówny, oddech kogoś, kto stara się oddychać normalnie i właśnie dlatego nie może. Myślę o tym, że jeszcze tydzień temu tego nie wiedziałem. Że jeszcze tydzień temu wstawałem rano i piłem kawę i wychodziłem do pracy, i wracałem wieczorem, i kładłem się spać obok Marty, i przez ani jedną sekundę nie myślałem o tym, że cokolwiek mogło być inne niż myślałem.

Tydzień.

Pięć dni, żeby się dowiedzieć. Dwa dni, żeby przestać wierzyć, że to można cofnąć.

Marta odwraca się od okna.

Patrzy na mnie i ja patrzę na nią i przez chwilę jesteśmy tylko dwojgiem ludzi przy stole w październikowy poranek, z kawą między nami, i jest w tym coś tak boleśnie zwykłego, że mam ochotę zamknąć oczy i zdecydować, że to wszystko, co jest. Że to wystarczy. Że można żyć w tej jednej chwili i nie ruszać się dalej.

Nie można.

Ona to wie. Ja to wiem.

To coś między nami na stole jest dokumentem. Widzę to kątem oka, widzę krawędź kartki, widzę fragment nagłówka. Nie czytam. Nie muszę. Znam już treść na pamięć, choć trzymałem go w rękach tylko raz, przez może czterdzieści sekund, zanim odłożyłem, bo dłużej nie dałem rady.

- Marcin - mówi Marta.

Mój głos, kiedy odpowiadam, brzmi jak głos kogoś, kto śpi z otwartymi oczami.

- Wiem - mówię.

I to jest nieprawda.

Nie wiem nic. Wiem tylko, że pięć dni temu obudziłem się i nie pamiętałem połowy swojego życia, i że to, czego się dowiedziałem próbując je odzyskać, jest gorsze od tej luki. Że luka była miłosierna. Że to, co ją wypełniło, miłosierne nie jest.

Kawa stygnie.

Marta siada naprzeciwko mnie, po raz pierwszy od godziny, odkąd tu siedzimy. Siada i kładzie dłonie na stole i patrzy na mnie tym swoim wzrokiem, który kiedyś uważałem za spokój, a teraz nie wiem, jak nazywa się ta rzecz, którą widzę.

Między jej dłońmi a moimi jest ten dokument.

Za chwilę będę musiał na niego spojrzeć.

Za chwilę będę musiał zdecydować, co z nim zrobię.

Ale przez tę jedną chwilę siedzę przy swoim stole i trzymam kubek, i pamiętam zapach kawy, i myślę o tym, że tydzień temu byłem szczęśliwym człowiekiem.

Albo przynajmniej tak mi się wydawało.

I nie wiem już, które z tych dwojga jest gorsze.

ROZDZIAŁ 1 - Szczelina

Budzę się i wiem, że coś jest nie tak, zanim jeszcze wiem cokolwiek innego.

To nie jest myśl. To jest informacja z ciała - ten rodzaj wiedzy, który dociera szybciej niż słowa, szybciej niż obrazy, prosto do miejsca za mostkiem, gdzie zbiera się wszystko, czego umysł jeszcze nie przetrawił. Leżę na plecach z oczami otwartymi i sufit jest biały i znajomy, i pęknięcie biegnie od narożnika w kierunku lampy tak samo jak zawsze, i jest szósta czternaście, bo zawsze jest szósta czternaście kiedy się budzę, i wszystko jest dokładnie na swoim miejscu.

Wszystko poza mną.

Przesuwam rękę po prześcieradle. Prawa strona łóżka jest chłodna - nie tak chłodna, jak bywa gdy nikogo nie było, ale chłodna jak po kimś, kto wstał przed chwilą. Chłodna jak po obecności, która właśnie przestała być obecnością.

Siadam.

Pokój jest moim pokojem. Wiem to z tą szczególną pewnością, która nie potrzebuje dowodów - zdjęcia na komodzie, kurtka na krześle w rogu, granatowa z urwanym guzikiem, który od miesiący zamierzam przyszyć. Stermata książek przy ścianie, ta sama co zawsze, ten sam porządek nieporządku, który jest moim porządkiem. Szafa z lekko otwartymi drzwiami, bo prawe skrzydło nie domyka się od trzech lat i ciągle zapominamy wezwać kogoś do naprawy.

Moje rzeczy. Mój pokój.

Czuję się jak ktoś, kto wrócił po długiej nieobecności i ogląda własne życie oczami człowieka, który je właśnie pożyczył.

Wstaję. Podłoga jest zimna pod stopami - zawsze jest zimna, parkiet w tym mieszkaniu nie trzyma ciepła nawet latem, to jedna z rzeczy, które Marta chciała zmienić i o których rozmawialiśmy i których nigdy nie zmieniliśmy, bo zawsze było coś ważniejszego. Robię dwa kroki w kierunku drzwi i zatrzymuję się, bo za ścianą, w kuchni, słyszę cichy brzęk - filiżanka postawiona na blacie, łyżeczka, coś drobnego i codziennego, coś, czego normalnie w ogóle bym nie usłyszał.

Teraz zatrzymuje mnie w miejscu.

Stoję tak przez chwilę, bosy, z dłońmi lekko uniesionymi jak człowiek, który nie wie, czy obudził się, czy śni, że się obudził. Potem drzwi sypialni otwierają się i Marta stoi w progu z kubkiem kawy w jednej ręce i telefonem w drugiej, w tej szarej bluzie za dużej, którą zawsze nosi w domu, i wygląda tak normalnie, tak absolutnie zwyczajnie, że przez sekundę to, co czuję, chce być ulgą.

Nie jest.

- Wstałeś - mówi, bez pytania. Wchodzi, stawia kubek na moim nocnym stoliku. - Kawa stygnie.

Patrzę na nią. Szukam czegoś na jej twarzy i nie wiem czego szukam, i to jest pierwsze zdanie, które formułuję tego ranka jako pewnik: nie wiem, czego szukam.

- Która godzina? - pytam. Własny głos brzmi jak głos kogoś, kto nie używał go od dawna.
- Prawie siódma. - Patrzy na mnie przez chwilę i coś przemyka przez jej twarz, zbyt szybko, żeby to nazwać. - Dobrze spałeś?
- Nie wiem - mówię, bo to jest prawda.

Uśmiecha się - krótko, trochę zmęczonym uśmiechem - i wychodzi. Słyszę jej kroki w korytarzu, potem cisza wchłania je z powrotem i zostaje tylko kubek parujący na nocnym stoliku i to uczucie za mostkiem, które nie ma jeszcze nazwy.

Podchodzę do okna.

Na zewnątrz jest szaro. Miasto dopiero się budzi, nieliczne samochody poruszają się powoli, jakby i one potrzebowały chwili. Znam ten widok. Znam tę ulicę, ten zakątek między blokami, gdzie latem rosną trzy topole. Teraz drzewa są nagie, szare jak wszystko inne, bez liści.

Kiedy był październik?

Cofam się od okna. Telefon leży na komodzie - ekranem do dołu, przy lampce, tak jak zawsze. Odwracam go.

Wcieram przycisk.

Data: czwartek, 17 października.

Stoję przy komodzie i patrzę na te cyfry i cyfry patrzą na mnie, neutralne i bezwzględne, jak patrzą wszystkie fakty.

Czwartek, 17 października.

Ostatnią datą, którą pamiętam, jest sobota, 12 października. Pamiętam biuro, lampkę na biurku, pustą przestrzeń po ludziach, którzy już wyszli. Pamiętam zmęczenie. Pamiętam, że miałem jeszcze coś sprawdzić w plikach i że odkładałem to od pół godziny.

Potem nic.

Nie ciemność, nie cięcie, żadna wyraźna granica. Po prostu nic, jak gdyby sobotni wieczór był ostatnią stroną, a ja

otworzyłem teraz nową książkę, i tej starej nie ma już w moich rękach, i nie pamiętam, żebym ją odkładał.

Między sobotą a czwartkiem są pięć dni.

Siadam na brzegu łóżka. Kubek paruje. Myślę o tym zdaniu, które za chwilę stanie się moim problemem: pięć dni, których nie ma w żadnym miejscu, do którego potrafię sięgnąć. Pięć dni ciszy, próżni, białej karty tam, gdzie powinny być obrazy.

Potem myślę o zaroście.

Dotykam policzka. Trzy, może cztery dni. Zarost rośnie mi wolno - zawsze rośnie wolno, to jeden z tych drobiazgów, z których żartowałem, czterdziestoletni mężczyzna z zarostem nastolatka. Trzy, cztery dni to dokładnie tyle, ile potrzebuje moja twarz, żeby zapełnić pięć dni luki.

Ciało pamięta to, czego umysł nie pamięta.

Wstaję, wychodzę z sypialni.

Korytarz jest wąski, ze zgaszoną czerwienią dywanu, który Marta kupiła dwa lata temu na targu i który nigdy mi się nie podobał, ale przestałem to mówić po trzecim razie. Zdjęcia na ścianie: my na Mazurach, niewyraźne, robione pod słońce. Marta z siostrą, obie śmieją się z czegoś poza kadrem. Reprodukacja Hoppera od mojej matki. Wszystko na miejscu, wszystko znajome.

Wszystko jak dekoracja na planie filmowym, który wygląda jak moje życie.

W kuchni Marta stoi przy oknie z telefonem, odwrócona plecami. Słyszę stukanie jej palców w ekran - szybkie, równomierne, takim rytmem pisze się wiadomość do kogoś,